

## REMBRANDT.



CAŁE ŻYCIE CIERPIEŃ, A KWADRAŃS RADOŚCI.

(Dokończenie.)

Przyszedszy do siebie, ujrzała pro-boszcza i Barbarę ratujących ją ze łzami, matkę która jej podawała niemowlę i Gerarda płaczącego rzewnie.

—»Ach! zawołała, przecież mi jes-coś pozostało na ziemi. J na pół ob-na prawie, podała piersi dzieciciu.

Lecz boleść nagle zgubiła pokar-

—»Ani matką, ani żoną! niczem jestem; niczem o Boże! zawołała wdowa, z twarzą rozpłomienioną od ki, z obłąkanemi oczyma, z drżącem

kłemi usta. Chcesz więc Boże i mnie po-  
wołać do siebie!

W tém objęła dwoje swoich dzieci, i kon-  
wulsyjnym uściskiem, przytuliła je do  
serca.

—»Nie chcę umrzeć! nie chcę was porzu-  
cić sieroty! Ach, to rzecz okropna! aż na-  
zbyt okropna! biedne sieroty, nie mają ani  
ojca, ani matki. Nie chcę, ażebyście były  
sierotami. Ach! otóż jakiś człowiek... chce  
je porwać!... nie dostanie ich, nie dosta-  
nie. J stojąc na łóżku, na pół obnażona,  
z rozpuszczonemi włosami, szarpała się i  
groziła doktorowi, którego przywołano.

Doktor milcząc, dotknął się pulsu cho-  
rój, położył rękę na jej rozpaloném czole,  
przepisał lekarstwo, przyrzekł iż w krót-  
ce powróci i wyszedł z proboszczem.

—»Lękam się bardzo, rzekł do niego,  
ażeby ta kobieta na zawsze nie pozostała  
obłąkana.

### § III.

#### BEZ PRZYTUŁKU.

W rzeczy samój, bjedna Garitta pozosta-  
ła obłąkana; cały dzień siedząc w oknie,  
czekała bez ustanku na powrót męża;  
śpiewała, przedła i nie poznawała nikogo,  
nawet własnych dzieci. Jeżeli Gerard zbli-  
żył się do niej, wlepiła oczy w niego,  
odpychała go bez gniewu i znowu spoglą-  
dała przez okno; jeżeli jej mała dziew-  
czynka zaczęła krzyczyć, głośzyła natych-  
miast jej wołanie, głosem swoim, do naj-  
wyższego stopnia natężonym. Swiekrze  
posłuszna była machinalnie, tak prawie  
jak machina wykonywająca ruch który jej  
nadadzą, lecz bez żadnej pojętności i wie-  
dzenia co czyni; zachowała w pamięci je-  
dno tylko słowo, które powtarzała kiedy  
niekiedy, głułowatym i jednotonnym głó-  
sem; a zwłaszcza gdy była głodna:

»Szczęście!

Można wyobrazić sobie rozpacz bjednej  
Katarzyny Dow, pozbawionój obojga dzie-  
ci tak ciężkim i niespodziewanym ciosem.  
»Boże! Panie mój! rzekła nazajutrz po po-  
grzebie syna swego, do poczciwój Barba-  
ry, która z oczu nabrzmiąłych bez ustanku,  
czy roniła: jakże sobie poradzimy moje  
dzieci, aby dojrzeć sklepu, wykarmić  
młodziemkę tę małą, jakieśmy tu spró-  
bowali od dnia onegdajszego, czuwać nad  
nią, zajmować się Gerardkiem i co-  
muś zapłacić jego nauczycielowi ma-  
ją? Bóg surowo nas karze, ale nie-  
chcimy być nieuczynni się jego wola.... Gdybym przy-  
szedł tak była silną i czerstwą jak za  
nie traciłabym serca.

—»Ach! moja pani, czyliż potrzeba tak  
się zniechęcać? Nie jesteś zdrową i mo-  
cną jak ja? A przytém Gerard jest już  
teraz prawdziwym młodzieniaszkiem, któ-  
ry sam idzie do pracowni malarza i po-  
wjadaią że tak dobrze maluje tam, jak naj-  
starsi uczniowie. Nic to nie szkodzi, praco-  
wać będę trochę więcej, a w nocy posta-  
wię kolebkę dziecka przy mojem łóżku, aby  
jej krzyki matęjnie budziły pani; bardziej  
bowiem potrzebujesz wczasu, niżeli ja.  
A z resztą, Bóg nas nie opuści, jak mówi  
ksiądz proboszcz.

»Zadzwoniono, któż to przychodzi tak  
rano? To pan Ruskonnetz! Wejdz pan  
proszę. Pani Dow zaraz przyjdzie, tylko  
włóży czepek na głowę.

—»Chciałem mówić z nią sam na sam.

—»A więc wniądź pan do izby w tyle  
sklepu i zaczekaj trochę.

Pan Ruskonnetz, człowiek niezmiernie  
otyły, który za najmniejszym poruszeniem  
zdyszał się i spocił; rzucił się bez cere-  
monii w krzesło z poręczami i twarz ob-  
tarł. Zdawało się, że tak sobie postępu-  
je jak we własnym domu.

—»Przepraszam pana, żeś na mnie za-  
czekał trochę; rzekła pani Dow, przybie-  
gając jak najspieszniej i jeszcze zawięzu-  
jąc czepek pod brodą.

—»Pani Katarzyno: odpowiedział otyły  
człowiek, zmuszony przerywać sobie za  
każdym słowem, ażeby dech schwytać:  
przychodzę tu w ważnym interesie i po-  
winnaś mi być wdzięczna, żeś czekała  
aż do dnia dzisiejszego, przez wzgląd na  
twoją boleść.

—»Cóż takiego, panie Ruskonnetz?

—»Oto jest wexel waszego syna; winien  
mi jest trzy tysiące złotych. Termin zapła-  
ty upłynął wczoraj, przychodzę więc po  
pieniądze.

—»Trzy tysiące złotych! trzy tysiące  
złotych! zawołała Katarzyna, z przestra-  
chem, która łatwo pojąć możemy,

—»Trzy tysiące złotych: powtórzył  
lichwiarz sapiąc, najobojętniejszym tonem.

—»Posłuchaj mój panie Ruskonnetz:  
mój syn pozostał ci dłużnym, ja ci za-  
płacę, ale dozwól mi zwłóki. Co tydzień  
oddam ci małą kwotę, tak jest, wszystko  
co mi pozostanie od nieuchronnych wydat-  
ków na życie. Tym sposobem wypłacę  
ci powoli, lecz aż do ostatniego szeląga,  
przysięgam.

—»Wczoraj termin upłynął, zacna pani  
Katarzyno. Jeżeli dziś nie dostanę za-  
płaty, jutro każę zatradować wasz sklep  
i wszystkie sprzęty.

—»Ach! nie uczynisz tego panie Ruskon-  
netz, nie uczynisz! Cóżbym zrobiła ze  
sobą, z dwojgiem dzieci, i moją biedną

synową, która postradała rozum. Panie Ruskonnetz! miej litość.

—»Znam dochód waszego sklepu i wiem ile wydatków pociąga za sobą wasze położenie; nie moglibyście zapłacić mi ani szeląga na tydzień; i ja mam także dzieci i żonę; bądź mi więc zdrowa pani Katarzyno, dziś wieczorem odeślą ci pieniądze, albo jutro przysłę komornika.

»O mój Boże! mój Boże! co począć, cóż się z nami stanie? Moje dzieci! moje biedne dzieci!

Tak więc jutro będziemy bez sposobu do życia, bez kawałka chleba, bez przytułku! Boże! czyliż się nie ulitujesz nad nami?

»A przecież trzeba poddać się losowi swojemu: rzekła po pierwszym przystępie rozpacz; niechaj przynajmniej nie powiedzą, że moje sprzęty gwałtem sprzedano przeddrzwiami naszego domu, jak to robią oszustom i bankrutom. Nigdy jeszcze nie tradowano nikogo z mojej rodziny. Pójdę do komornika pana Ruskonnetz i powiem mu że wszystko oddaję temu człowiekowi, że tylko wezmę trochę bielizny dla mnie i dla moich dzieci. Pozostają mi dyamentowe kolczyki; sprzedam tę szacowną spuściznę po rodzicach moich: warte są przynajmniej sto talarów, a za te pieniądze założę sobie mały handelek. Bóg który mnie doświadcza, nie opuści mnie przecie.

Natychmiast poszła do komornika, który chociaż nazwyczajony do przykrych czynności, uczuł uwielbienie na widok takiej odwagi i rzetelności; chciał więc jej dopomóc.

—»Posłuchaj mnie pani, rzekł prowadząc ją do osobnego pokoiku. Może potrafimy załatwić ten interes. Zaprzysiąż mi tylko, że nikomu nie powiesz, kto wam doradził użycie tego środka.

—»Jakiego środka? powiedz panie, a sprawisz mi jedyną pociechę, jakiej jeszcze doznawać mogę.

—»Posłuchajcie mnie. Po śmierci Mikołaja Dow waszego męża, czyliżście zrobili akt spółki z waszym synem?

—»A to na co? nie miałam więcej dzieci.

—»To dobrze; nawet szyldu nie zmieniono, jak sobie przypominam.

—»Byłby to niepotrzebny wydatek, ponieważ mój biedny syn, tak się nazywał jak ojciec jego.

—»A więc wszystko pójdzie dobrze. Długi twojego syna nie należą do ciebie; umarł, wszystko stracił; tém gorzej dla jego wierzycieli; nie masz potrzeby przyznawać i płacić jego długi.

—»Ale imię mojego syna, byłoby zhańbione?

Komornik osłupiał, spojrzął na nią.

—»Ale wszyscy powtarzać będą koło mnie: »Jój syn był nieuczciwym człowiekiem. Wolę cierpieć nędzę, wolę ażeby dzieci moje pozostały bez chleba. Bądź zdrow panie.

J powróciła do domu, z rozpaczą w sercu, ale z postanowieniem, że wytrwa w tak chwalebnym zamiarze.

Za powrotem uczynić musiała jeszcze jedną ofiarę; zawołała Barbarę służącą swoją, powjedziała, jakie nieszczęścia spadły na nią, i z płaczem rzekła do niej aby sobie poszukała innego miejsca.

—»J mogłaś pani mniemać, że zdołam odłączyć się od ciebie, teraz gdy jesteś nieszczęśliwą i gdy jestem ci potrzebniejsza, niżeli kiedykolwiek. O Boże! jakże źle sądzicie o mnie pani Katarzyno?... Nie zażyłam na takie obejście się ze mną. Ja mam was opuścić! o nie... chociażbyś mi pani rozkazała, chociażbyś mię za drzwi wypchnęła... Jestem młoda i silna, mam krzepkie ręce, będę pracować, będę się najmować do prania, to wystarczy na moje pożywienie i jeszcze się okroi trochę pieniędzy. Gdy nie trafi się robota na mieście, będę prąszdź, szyć, ale nigdy was nie opuszczę.

J te dwie kobiety uściskały się tonąc we łzach.

Nazajutrz rano, gdy komornik przyszedł z panem Ruskonnetz, zastał samą tylko Barbarę, która im oddała pismo, zawierające ustąpienie całego handlu, za dług Mikołaja Dow.

O świcie, pani Katarzyna Dow, biedna sześćdziesiątletnia kobieta, opuściła dom, zabrawszy ze sobą wnuka, dziecię w powiciu i obłąkaną, powtarzającą jedyny wyraz, który pozostał w jej pamięci. —»Szczęście! szczęście!

## § IV.

### BÓG IEST WE WSZYSTKIEM.

Pomińmy piętnaście lat upłynionych od owiej smutnej chwili i przenieśmy się do innej części miasta Lejdy, uboższej i wyłączonej zamieszkałej przez artystów.

Tam jeszcze znajduje się szyld dawnego sklepu pani Katarzyny Dow.

### POD CZERWONĄ POŃCZOCĄ

### DOW MIKOŁAJ,

*Kupiec towarów szklanych i łokciowych.*

Ale ten szylid, niestety! jest tylko ubogą czarną deską, na której litery nakreślone, nie już złotym, ale po prostu złotym kolorem, wskazują, że są dziełem bar-

dzo niezgrabnego malarza. Serce się ścisła, gdy porównamy kramik, nad którym ten szyld jest zawieszony, ze sklepem, którego Katarzyna Dow posiadała przed piętnastą laty, na najpiękniejszej ulicy. Nie mniej zasmucającą zmianę widać było w ubraniu Barbary i jej pani; w prawdzie ich suknie były ochędożne jak zawsze, ale niezliczone ściegi i delikatne cery, które tylko zbliżona dostrzedz było można, wskazywały starość tych sukien i pracowitą wytrwałość, z którą te kobiety usiłowały je ratować. Z resztą, podobnie jak dawniej, pani Katarzyna siedziała za kantorem, albo wychodząc na próg, przypatrywała się najmniejszym zdarzeniom, przytrafiającym się na ulicy. Tłusta Barbara, przez te lat piętnaście rozrosłszy się na krzepką kobietę, jakie tylko we Flandryi znaleźć można, zawsze toż samo uszanowanie okazywała pani swojej. Jedyne tylko zamjast prząsłdz w izbie za sklepem, przędła w samym sklepie, a to z tej przyczyny, że ten sklep stanowił teraz całe pomieszkowanie biednej Katarzyny.

Przy Barbarze, młoda dziewczyna niepospolitej piękności, z pochyłą głową, z oczyma wilgotnemi od łez, milcząc robiła pończochę.

W głębi, wysoka i blada Garitta, niedbale i gnuśnie rozciągnięta w krześle z poręczami, drzymała jak zwykle.

W tém młoda dziewczyna zadrżała i zbladła. Odgłos znanych jej kroków dał się słyszeć na ulicy i młody człowiek szybko przeszedł koło sklepu. Tak mocno był wzruszony, iż zaledwie zdołał drżącą ręką unieść szeroki kapelusz, który mu głowę zastaniał.

Barbara i jej pani, wzajemnie spojrzwały na siebie z wyrazem politowania i westchnęły. Młoda dziewczyna nie mogła wstrzymać się od łkania.

Sama tylko obłąkana, została obojętną. Katarzyna i Barbara wyszły parę kroków na ulicę, aby młoda dziewczyna nie słyszała ich rozmowy.

— Ach pani Katarzyno! rzekła Barbara, serce się kraje, bjedni ci młodzi ludzie!

— Tak jest Barbaro, tego tylko zmartwienia nie dostawało nam jeszcze.

— A przecież mieliśmy je wszelkiego rodzaju. Od lat piętnastu, jakieś tu założyły ten kramik za sprzedane dyamentowe kolczyki, ileż to trzeba było znosić niedostatku, niespokojności i nędzy; bo nie łatwo wyżywić można pięć osób, zarobkiem z tak małego sklepiku w tak bjednej części miasta, i to jeszcze gdy jedna jest w takim stanie (przydała wskazując na Garittę) A przecież dokazałaś tego; nasza córka jest najładniejsza i najlepiej wycho-

wana ze wszystkich panienek w naszym mieście. Co za szkoda, że nie ma posagu! Gdyż byłaby to przesłiczna para z tym młodym Mieris, który ją tak kocha, a któremu nie pozwalasz bywać u nas.

— Czyliż mogłam pozwolić Barbaro, kiedy jego familia najbogatsza w Lejdzie, kiedy jego ojciec, syn burmistrza, rozpowiadał głośno, że ich syna przyciągam do siebie, ale że nigdy nie da swego Jakoba, tak ubogiej dziewczynie, jak moja wnuczka?

— Prawda, ale mimo tego boli mię serce, gdy patrzę na zmartwienie tych biednych dzieci.

— Oby tylko, kochana Barbaro, nie zagrażało im inne cięższe nieszczęście. Już od roku, nie mam wiadomości od Gerarda, który przed czterema laty, wyjechał dla wydoskonalenia się w malarstwie. Czyliż gospotkało jakie nieszczęście?

— Po cóż je przypuszczać?

— Jnna okoliczność jeszcze bardziej mię zatrwaja. Od niejakiego czasu, już nie przysyła nam, jak to czynił dawniej, małej kwoty, która nam dopomagała do życia, a zwłaszcza służyła na opłacenie procentów, od czterechset dukatów, które pożyczył mu Rembrandt na kosza podróży. Wie, że ja nie mogę tych procentów opłacić; już nadszedł termin, a nie mam pieniędzy.

— Otóż i Rembrandt sam przychodzi po pieniądze.

— W rzeczy samój, wielki ten malarz, który obok sztuki swojej, trudnił się także lichwiarstwem, zmierzał ku sklepowi pani Katarzyny Dow; lecz jego fizynomia za zwyczaj nieprzyjemna, nie zwiastowała nic złego, i widać było mimowolny uśmiech na jego ustach.

— Niechaj Bóg ma was w opiece swojej, pani Katarzyno: rzekł uchylając kapelusza: i ciebie także tłusta Barbaro, nie zapominając i o tobie moja Treo: przydał, całując ją w czoło.

»Co! znowu płaczesz! zawsze płaczesz?»

»Jcoż pani Katarzyno: mówił dalej, bez ceremonii siadając w krześle: czy są jakie wiadomości od mojego ucznia Gerarda?»

— Niestety, nie panie Rembrancie i bardzo jestem niespokojna... Jakże się ma twoja dobra siostra, panna Ludwika? Przydała śpiesznie, usiłując jak don Zuan odwrócić rozmowę i nie dopuścić aby jej wierzyciel zaczął mówić o pieniądzach.

— Ach! ach! będę więc musiał obejść się bez pieniędzy: przerwał malarz, odgdując podejście bjednej Katarzyny.

— Niestety! kochany panie Rembrandt, gdybyś chciał jeszcze zaczekać trochę.

— Posłuchajcie mię; zaczekam, ale przysługa za przysługę. Potrzebuję tego

sklepu i musicie ustąpić go, tak jak jest, ze wszystkiém, co się w niém znajduje.

Katarzyna, z przestrachem spojrziała w około siebie.

—»Ustąpić panie Rembrandt!... a cóż się z nami stanie?»

—»Zaprowadzę was do innego' domu, gdzie będziecie mogli tak dobrze prowadzić wasz handel jak tu. Podaj mi rękę, a ty idź z tej strony, ładna Treo. Pójdź także Barbaro... A jeżeli się wam niepodoba ta zamiana, wolno wam będzie powrócić: przydał, widząc ich boleść i obawę.

—»A moja bjedna pani? zapytała się Barbara, wskazując na chorą.

—»Weź ją pod rękę Barbaro i pójdźmy.

J wyszli wszyscy, kobiety bardzo niepokojne, Rembrandt z uśmiechem na ustach.

Za dziesięć minut, stanęli przed dawném pomieszkaniem Katarzyny. Nie wiedziała co się z nią dzieje, ujrzawszy że ten sklep przerobiony potem na szynkownię, znowu stał się składem towarów łokciowych.

Siostra Rembrandta, Ludwika, stała w progu, wyszła na przeciw Katarzyny i uściśkała ją czule.

Biedne kobiety rozumiały że to jest sen i nie mogły pojąć, co się to znaczy.

—»A cóż, rzekł Rembrandt, ten sklep czyli się, wam podoba?»

—»Nie żartuj z nas panie Rembrandt, nie!; znieśliśmy tyle szczęścia.

Drzwi się otworzyły i młodzieniec, Gerard Dow, wybiegł i rzucił się na szyję babki i siostry.

Rembrandt i Ludwika, nie mogli powściągnąć się od łez, na widok radości i wzruszenia tych szczęśliwych kobiet.

—»A mnie też, rzekła nareście Barbara, płacząc z radości, mnie, czy nie przywitasz Gerardzie?»

—»J ciebie także! moja wierna, moja przywiązana Barbaro!

—»Gerardzie, mój chłopaku, jeszcze nie koniec na tém; jest tu ktoś, na którego także kolój przyjdź powinna: przerwał Rembrandt, przyprowadzając zapłonionego młodzieńca, na którego widok Treo spuściła oczy... A ty Barbaro, zrób dobrą wieczerzę, prawdziwą wieczerzę weselną: bo dziś wieczorem, rodzice Jakoba Mieris przyjdą prosić o rękę téj ładnej dziewczyny.

—»Wszystko to wydaje się snem, albo czarodziejstwem, wam pani Katarzyno i tobie także Barbaro... Wyłupiasz oczy, bieżesz mnie za czarownika.

J jeżeli kto jest czarownikiem, nie ja zapewne.

»On to jest pani Katarzyno, Gerard Dow,

niegdyś mój uczeń, a dziś mój rywal, Gerard, którego kaźden obraz zasypują złotem, którego imie cała Flandrya, cała Europa z uwielbieniem powtarza. Jest to wielki malarz, a co lepsza syn cnotliwy i brat czuły, co jest rzadką rzeczą, nie prawdaż Ludwiko?»

—»Czuły, jak ty moj bracie.

—»Nie zawsze takim jestem, Ludwiko. Zbyt często ogarnia mię melancholija, ale dziś jestem wesołym i czułym.

»Ci zacni ludzie, powrócili mi najświętszą i najśodszą ufność.

»Ufność w cnotę.

Nagle postyszano szmer żałosny; wysoka i blada postać Garitty, pokazała się, jak zjawisko, między temi szczęśliwemi którzy zapomnieli o niéj; zwróciła w około głupowate oczy, nie poznała nikogo, i potem wyjąkała swoje zwyczajne słowo: »Szczęście! szczęście!

Wszystkich czoła smutek zasępił.

Rembrandt zbladł i spojrział potem na wychudłą twarz Gerarda Dow, który mimo-wolnie poniósł rękę do piersi, czując znowu boleść, na chwilę wstrzymaną uczuciem szczęścia.

»Ludwiko! rzekł Rembrandt z rozpaczą, do siostry, zaprowadziwszy ją do drugiej izby: cóż pozostanie téj kobiecie, której córka jest obłąkana, a wnuk ledwie jeszcze dwa lata pożyje?»

—»Czyste życie i Bóg! odpowiedziała Ludwika.

## REMBRANDT I GERARD DOW.

Paweł van Rhyn Rembrandt, jeden z naj-sławniejszych malarzy i sztycharzy szkoły flamandzkiej, urodził się w 1608, w młynie, niedaleko Lejdy, należącym do jego ojca. Jego namiętny popęd do sztuków, zniszczył plany ojca, który go chciał na uczonego wykształcić. Pierwszych początków sztuki, uczył się u Jaka, miernego malarza, potem pracował w Amsterdamie u Piotra Lastmann, Jozefa Pinas i Jerzego Schooten. Ale w krótce powrócił do domu, a za wzór i nauczycielkę obrał sobie naturę. Ale natura ta była pospolitą, a brak wykształcenia nie dozwolił Rembrandtowi, wznieść się do ideałów wysokiej i szlachetnej piękności. Ograniczył się zatem na malowaniu gminnej natury! Całe życie przepędzał także z ludźmi pospolitego stanu, nie chciał uczęszczać do lepszych towarzystw. Wr. 1630 osiadł w Amsterdamie i ożenił się

z piękną wieśniaczką z Rarep, której portret znajdujemy w wielu jego pracach. Jego obrazy nadzwyczajnie poszukiwano i drogo płacono, dla tego też zaprzestał je wykończać pracowicie i robił z pośpiechem. Dzieła uczniów swoich, którym drogo kazał płacić sobie za naukę, poprawiał i za własne przedawał. Przez chciwość zysku, dał powód do wielu pomylek względem szczegółów swego życia: i tak naprzykład, wiele sztychów swoich datował z Wenecyi, aby miały większy pokup i z téj przyczyny wielu mniemało, iż wrzeczy saméj Rembrandt znajdował się w Wenecyi między rokiem 1635 i 1636. Nigdy nie opuścił Amsterdamu, chociaż zawsze groził że oddali się z tego miasta, aby miłośników sztuki zachęcać do nabywania jego obrazów. Od roku 1628, gorliwie przykładał się do sztycharstwa i posunął je do wysokiego stopnia doskonałości. Jego sztychy tak są wysoko szacowane, jak jego obrazy. Powodowany takomstwem, dopuszczał się rozmaitych podejść, używanych podobnie przez wielu sławnych sztycharzy. J tak np: przedawał na pół wykończone blachy, potem je kończył po wyciśnięciu pewnej liczby exemplarzy, poprawiał i za nowe przedawał. Takimi sposobami, zebrał znaczny majątek. Rembrandt umarł w r 1674. Tytus syn jego odziedziczył po nim zebrane pieniądze, był także artystą, lecz się niczem nie odznaczył.

Jużeśmy wspomnieli, że Rembrandt grzeszył gminnością w obrazach swoich, ale za to celował mocą i wielką sprzecznością światła i cieni. Tak wiele rzucił farby na płótno, że obrazy jego z pewnej odległości widzieć potrzeba. Nikt lepiej od niego nie znał, jak trzeba dobierać kolory. Nie zważał na szczegóły, ale zawsze do tego dążył, aby całość czyniła mocne wrażenie. Obrazy Rembrandta znajdują się rozrzucone po galeryach prywatnych, jest ich wielka liczba. Do najznakomitszych należy Tobjasz i jego familia klęcząca przed aniołem, Dwaj filozofowie, Chrystus i dzieci, Portrety jego matki i jego własny, którego rycinę umieściliśmy na czelu tego zeszytu. Rodzina Święta, Złożenie w grobie, Zdjęcie z krzyża; Biesiada Asswera, Ganimedes i t. d.

Gerard Dow, uczeń Rembrandta, zupełnie odmiennym sposobem pracował, chociaż od mistrza swego przejął sposób dobierania kolorów. Jego obrazy i portrety są wszystkie w zmniejszonej postaci, tak, iż się prawie do rodzaju miniatur zbliżają. Z niezmierną pilnością pracował nad ich wykończeniem i nie pominął najdrobniejszego szczegółu. Rzadko który z je-

go obrazów wyższy jest nad stopę. Czasem pięć dni malował jedną rękę i pewnego razu przyznał się swojemu przyjacielowi, że nad drągiem od miotły trzy dni pracował. W jego obrazach nie trzeba szukać zapału, ani wyobraźni. Z pomiędzy nich wyłaczyć tylko można obraz kobiety chorującej na puchlinę, w którym, boleść malująca się na twarzy córki, cierpienia choréj i postać doktora przyglądającego się lekarstwu, jest wzniosła i szlachetna, chociaż w tak małym zakresie zawarta. Gerard Dow umarł w r: 1680.

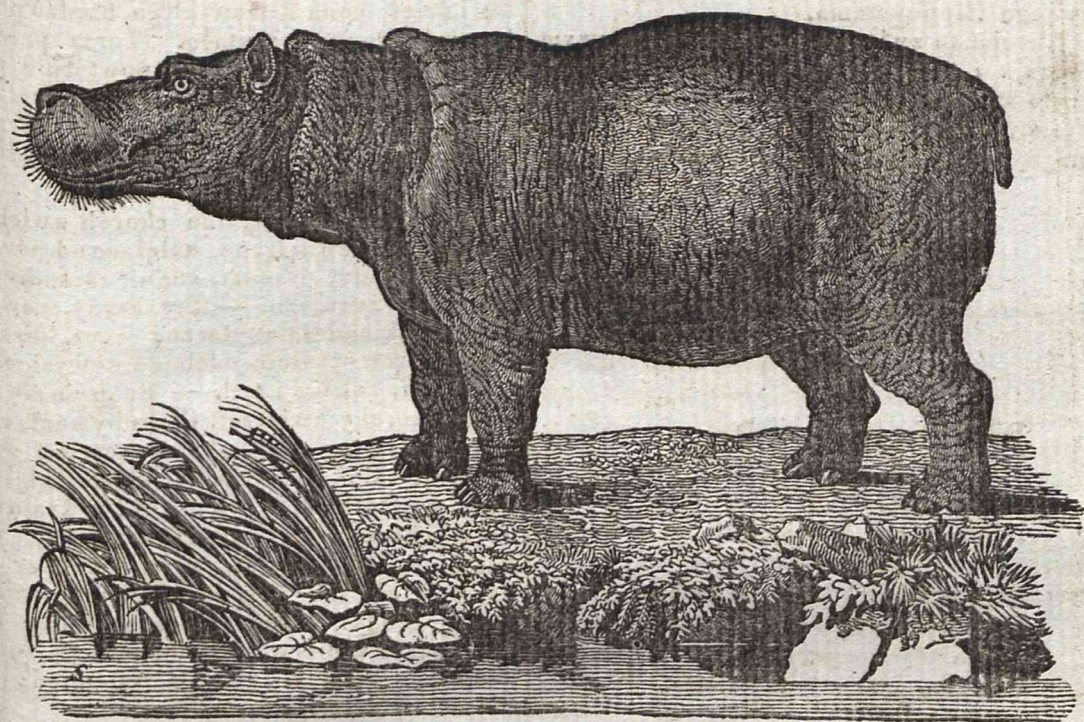
## H I P P O P O T A M.

Hippopotam, tak nazwany od dwóch wyrazów greckich, znaczących konia rzeczowego, z powodu jego krzyku, dosyć podobnego do rżenia konia, należy do najcięższych i najgrubszych zwierząt. Jego ciało jest niekształtną masą, dźwiganą na członkach bardzo krótkich i grubych; okryty jest skórą, przez którą nie można rozpoznać żadnego zgjęcia, żadnego muskułu, kilka zaledwie fałdów odznacza się, a głowa zakończona jest wargami mięsistymi i spłaszczonemi, przez co pomina się jeszcze szpetność tego zwierzęcia.

Jego zwyczaje odpowiednie są postawie, żyje ciągle w mule, nad brzegami rzek i z tamtąd wychodzi tylko w nocy i to jeszcze, za najmniejszym łoskotem, za najmniejszą oznaką niebezpieczeństwa, zanurza się w głębi wody i tylko nozdrza swoje wychyla nad powierzchnią, aby kiedy niekiedy odetchnął. Dla tego też niezmiernie jest trudno ubić go; zwyczajne kule, płaszcą się na jego skórze i trzeba utafić go w głowę, aby go zranić; ma właściwy sobie systemat zębowy; zęby przednie walcowato stożkowate, w szczyte górnej cztery pionowe, rozsunione, w dolnej cztery poziomo na przód sterzące, z tych dwa środkowe najdłuższe. Kły wargami zastąpione, górne od przednich krótsze, dolne zaś znacznie dłuższe i grubsze, łukowate, rowkowane, na końcach ukośnie ścięte, trzonowe niby przyłamane, składane: w każdej zuchwie po siedm lub po cztery, gdyż trzy pierwsze niestałe.

Pewien naturalista schwycił w Egipcie na początku XVII wieku, dwa hippopotamy, samca i samiec. Samiec większy o jedną trzecią część od samicy, miał 16 stóp i dziewięć calów długości, od końca pa-szczęki aż do ogona, 15 stóp obwodu, 6 i pół wysokości, nogi długie na dwie sto-

## HIPPOPOTAM.



py i 10 calów, głowę na 3 i pół, paszcza miała 2 stopy i cztery cale otworu, a wielkie zęby, długie były przeszło na stopę. Zęby Hippopotama są bielsze od słoniowych i nie żółknieją tak prędko, dla tego też są przedmiotem handlu. Ludy mieszkające w krajach gdzie się znajduje, żywią się jego mięsem, a skórę używają do rozmaitych potrzeb.

»Tak będąc silnym i ogromnym, mówi Buffon, Hippopotam mógłby stać się groźny wszystkim zwierzętom; lecz jest z natury swojej łagodny, a prócz tego tak ciężki i powolny w biegu, iż nie mógłby schwytać żadnego czworonoga. Pływa prędzej niżeli chodzi, chwytając ryby i nie mi się żywi. Lubi przebywać w wodzie. A jednakże nie ma błon między palcami, i zdaje się, że wielka objętość brzucha, najbardziej dopomaga mu do pływania. Oprócz tego, może długo zostawać pod wodą i chodzi tam jak po ziemi, a wyszedłszy na ląd, je trzcinę cukrową, proso, ryż, korzonki roślin i t. d. Wiele bardzo potrzebuje żywności, i przez to zrzadza wielkie szkody w uprawnych gruntach, lecz ponieważ jest bojaźliwy, łatwo można go odpędzić; nogi ma tak krótkie, iż nie zdołałby uciekać, gdyby się oddalił od wody. Zraniony Hippopotam, wpada w wściekłość i odwracając się, uderza na

polujących, chwytając zębami ich czołna i częstokroć je zatapia.

Hippopotamy mieszkały niegdyś w całej Afryce, prócz okolic na północ gór Atlasu położonych; teraz, gdy już wypędzono je z Egiptu, znajdują się tylko w Abissynii i w krainach na południe wielkiej pustyni, aż do przylądka Dobrej Nadziei, ale i tam ich liczba znacznie się zmniejszyła.

Nie wiele mamy wiadomości o budowie ich organów zmysłowych; wiemy tylko że zewnętrzne ich części, nie są należycie rozwinięte, oko jest bardzo małe, jako też trąbka uszna. Nozdrza są wystające i otoczone ściągaczami i muszkułami, za pomocą których, zwierzę może je otworzyć lub zamknąć, podług tego czyli jest na lądzie, czyli na ziemi. Organa smaku nie były także opisane i trudno mniemać, aby organa dotykania miały jaką delikatność, chyba na ustach. Cała skóra niezmiernie twarda i gruba, jest naga. U nóg ma cztery palce równiej prawie długości, zewnątrz poznać je można tylko po paznokciach. Ogon krótki, gruby i wiszący. Kolor skóry jest w ogólności ciemno brunatny, nieco bledszy pod brzuchem.

Zdaje się, że samica jeden tylko płód na rok wydaje, a gdy pływa, nosi go na grzbiecie.

Pomimo rzadkości swojej, zwierzę to nie raz widziano w Rzymie w starożytnych wiekach; teraz zaś od upadku państwa Rzymskiego, nie sprowadzono do Europy żywego Hippopotama.

Chociaż to zwierzę, jedynym jest w swym rodzaju i tylko znajduje się w Afryce, odkryto szczątki jego w pokładach ziemi we Francji i we Włoszech, co dowodzi, że niegdyś było daleko więcej upowszechnione.

### ŁÓDKA.

(Bajka.)

Półki łódka wiosło miała,  
W ciszy, czy wśród niepogody,  
Tysiąc zawad odpychała,  
Płynąc przez śpionione wody.

Lecz przebóg! jakaż to zmiana?  
Już przy łódce nie ma wiosła.  
Rzeka falą rozigrana  
Wartkim pędem łódkę niosła.

Coraz dalej się pomyka,  
Nic ją nie zatrzyma w biegu,  
Waha się, w bałwanach znika,  
J rozbiła się u brzegu.

O jak smutne widowisko  
Dla serc czystych, czułych powiek!  
Cóż jest wodą? — Łądz siedlisko,  
Rozum wiosłem, łódką człowiek.

Fl. Jałowicki.

### NOWE DZIEŁO.

*Nauka leczenia chorób ZWIERZĄT DOMOWYCH* z najnowszych autorów weterynaryjnych jako to: *Wagenfelda, Rohlweza, Wejtha, Bojanusa, Kauscha, Peterki i wielu innych*, dla użytku gospodarzy wiejskich, zebrana przez *Jana Nepomucena Kurowskiego, z XI tablicami rycin. Warszawa nakładem Gustawa Sennewalda 1836 r. Cena zł. 15.*

W 1832 r. pan Kurowski, który ciągle zajmuje się wydawaniem dzieł gospodarskich, czerpanych z źródeł najlepszych i doświadczeniem stwierdzonych, wydał w r. 1832 dzieło p. t. *Najnowsze spostrze-*

*żenia nad chorobami zwierząt domowych. Zaraza na bydło ciężką klęskę przynosząca wówczas naszemu krajowi, zniewała do szukania wszelkich środków ratunku i dzieło pana Kurowskiego, bardzo przedko wyczerpanem zostało. Teraz przerebione i pomnożone, wydał powtórnie pod tytułem: *Nauka leczenia chorób zwierząt domowych.* Dzieło to do 400 stronnic druku obejmujące, jedenastą tablicami objaśnione, zawiera w sobie:*

Imo Przyczyny ogólne chorób zwierząt domowych; zewnętrzne, zależące od powietrza pokarmu, pojenia, stajni, zaraźliwych miazmów i trucizn. — Przyczyny wewnętrzne, jakimi są zbyteczna praca lub sporty, zatrzymanie odchodów i wyziewów skórnych, robaki i t. d. — Po czym się poznają choroby zwierząt. Choroby koni, choroby bydła rogatego, choroby owiec, świń i psów. Co do choroby która większą część bydła rogatego wytepiła w kraju naszym, choroby sięgo-suszą nazwanej, wykazuje autor, że na nią prawie żadnego lekarstwa nie ma i że jedynie tylko najściślejsze środki ostrożności i zabijanie bydła, zaraz w pierwszych dniach, po pokazaniu się choroby, zdołają zapobiedz jej szerzeniu i wytepić zupełnie.

Za tak użyteczne i dokładne dzieło, należy się zasługa i wdzięczność autorowi, oraz wydawcy, który głównie trudni się wydawaniem dzieł, pożytek i dobro sporteczne na celu mających.

### CENA PRENUMERATY

### MUZEU DOMOWEGO.

w Warszawie, w KANTORZE GŁÓWNYM w xiegarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D. oraz w innych xiegarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

na Prowincyi, w Urzędach Pocztowych i po xiegarniach, rocznie zł 24, półrocznie złp. 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xiegarzy.

w Kaliszu u Jahnischa  
w Radomiu w xiegarni tamtejszej.  
w Lublinie u Streibla.  
w Poznaniu u T. Scherka.  
w Krakowie u Friedleja i Czecha.  
w Wilnie u Zawadzkiego.  
tamże u T. Glücksberga.  
w Winnicy na Podolu i w xiegarniach braci Le chów  
w Kamieńcu Podolskim.

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach listy gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.

w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D.